NUMER 22. DNIA 29. MAJA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WYNIKI ZJAZDU KONSERWATORÓW.

Reasumując to wszystko, co w czasie dwudniowego zjazdu konserwatorów w Przemyślu powiedziano w dyskusji i uchwalono, trzeba przyznać, że pierwszy ten zjazd nie pozostanie bez doniosłego wpływu na dążenia, które mają na celu uratowanie resztek pomników naszej historycznej kultury. Zrozumiała tę doniosłość zjazdu konserwatorskiego i prasa codzienna, która, mimo nawału spraw bieżących, poświęciła omówieniu obrad i uchwał zjazdu bardzo wiele miejsca i specjalnej uwagi. W ten sposób i całe społeczeństwo zajęło się żywo sprawami historycznych zabytków, a to wróży, że może niedaleką jest chwila, kiedy zajmowanie się zabytkami historji i kultury nie będzie nosić lekceważącego miana „szpargalistyki“ lub „handlu starzyzną“, ale stanie się tym pożądanym łącznikiem między starymi a młodymi laty, który znękanej i nerwowej chwili dzisiejszej oprzeć się dozwoli o macierzysty pień życia, co płynęło wiekową kulturą a płynęło czasami tak górnie i lotnie.

A najpierw naga i gorzka prawda tym, którzy nie widzą dalej ponad dzień dzisiejszy. Nie umieliśmy i nie umiemy szanować przeszłości, mimo, że ta przeszłość ma dla nas stokroć może większą wartość, niż u innych narodów i mimo, że na nas, będących w niewoli, spadł obowiązek przekazania wielkich tradycji Polski tym czasom i pokoleniom, którym ją przyjdzie dźwignąć na nowo. A jakoż powstanie ona niepodległa Polska, jeżeli jej nie wesprze tysiąc lat życia przeszłego i tyleż lat krwawej zasługi? Przecież społeczeństwa nie odrazu się tworzą, ani z samych się tylko, jak starożytny feniks, odradzają popiołów. Owszem, te tylko z nich hart stali i moc czynu posiądą, które urosną z pnia żywego i natchnienia zaczerpną u samych źródeł swojego bytu. U nas jednak idzie się naprzód z chwilą współczesną, nie oglądając się wcale za siebie. Tysiące zabytków ginie bezpowrotnie, a z nimi razem schodzą do grobu świadkowie lepszej przeszłości. Należało więc przemówić do sumienia teraźniejszości — zjazd konserwatorów to uczynił i wykazał, „jak giną nasze zabytki“, spisał to, co zginęło i to smutne sprawozdanie rozrzuci w tysiącach egzemplarzy po kraju, pójdzie z żałobą do wszystkich, którzy mają u nas prawo rządu. To jest pierwsza zasługa zjazdu i zasługa niepoślednia.

Drugą jest dążność do ustawowego uregulowania ochrony zabytków i pchnięcie akcji w tym kierunku chociaż krok naprzód. Próby stworzenia odnośnej ustawy datują się wprawdzie od roku 1818, ale z niewielkiej stosunkowo liczby odnośnych cyrkularzy i rozporządzeń administracyjnych dopiero w r. 1898 wyłania się pierwszy projekt ogólnej austrjackiej ustawy o ochronie zabytków historycznych. Wniesiony przez br. Helferta w Radzie państwa grzeszy ów projekt brakiem sankcji karnej i jednostronnością, gdyż odnosi się jedynie do zabytków architektury i to mających cechę zabytków publicznych, a nie przewiduje kar za przekroczenia swoich przepisów. To samo tyczy się też drugiego projektu prof. Cyhlarza. Dopiero projekt ustawy i organizacji urzędów konserwatorskich, wypracowany w r. 1903 przez Komisję centralną, ma wszelkie szanse otrzymania mocy obowiązkowej.

Projekt ten, według relacji dr. Tomkowicza, uwzględnia najnowsze postulaty nauki i kultury, oraz doświadczenia praktyki konserwatorskiej, a nie idąc zbyt daleko wobec słusznych wymagań prawa prywatnego, znosi przedewszystkiem Komisję centralną, rozdzielając jej atrybucje administracyjno

urzędowe od działalności fachowo naukowej i obywatelskiej. Władzę składa w ręce osobnych urzędów administracyjnych (Denkmalamt), resztę zaś czynności w ręce rad i komisji. Uwzględniając autonomiczne stanowisko krajów koronnych tudzież interesy sprężystej i na bezpośredniej styczności z zabytkami opartej ochrony tychże, wprowadza racjonalną decentralizację (Urzędy krajowe i Komisje krajowe w związku z Namiestnictwami), a z drugiej strony dla zachowania jedności działania ustanawia wyższą instancję przy ministerstwie oświaty (Urząd centralny i Rada centralna „Beirath“), waruje również prawa kościoła i innych instytucji.

Za nim jednakowoż projekt ten w dzisiejszych zabagnionych stosunkach stanie się ustawą, nie zapomniał zjazd przez usta dr. Finkla dobitnie zaznaczyć, że dzisiejszy stosunek konserwatorów do Komisji centralnej wiedeńskiej powinien uledz radykalnej zmianie w duchu autonomicznym, a zarazem nadaną być winna urzędom konserwatorskim i władza urzędowa, której im brak obecnie. Z wdrożeniem energicznej akcji w obydwu tych kierunkach, niepłonną się staje nadzieja, że zjazd przemyski, być może stanie się punktem zwrotnym wobec dotychczasowej bezsilności i bezskutecznych a platonicznych biadań nad wandalizmem.

Wymieniamy dwie tylko powyższe sprawy, jako najdonioślejsze, pomijając cały szereg innych, mimo że i one stanowią godny rezultat dwudniowego zjazdu. Ale miał zjazd konserwatorski i inne, natychmiastowe skutki, które dobrze pozwalają wróżyć na przyszłość. Do tych należy przedewszystkiem oświadczenie biskupa Pelczara, że przystąpi niebawem do założenia w Przemyślu muzeum djecezjalnego. Samo wreszcie zgromadzenie się mężów nauki w jednem miejscu przyczyniło się do tego, że zwrócono dokoła siebie uwagę na niejedną rzecz, którąby długo jeszcze czekać musiała publikacji. Tutaj więc należy zamierzona publikacja cennego a nieznanego dotychczas zabytku, który się znajduje w archiwum przemyskiem w formie wzorów sztuki krawieckiej z XVII. wieku przepisanych na t. z. „majstersztyki“ cechowe, lub np. ciekawe studja nad wpływem chińszczyzny na malarstwo polskie w połowie XVIII. wieku. Oryginalne szczegóły tego wpływu znajdują się w magnackim pałacu w Kresowicach i świadczą z jaką forsą czasami stosowano motywy chińskie do scen rdzennie polskich i t. d.

Pierwszy zjazd konserwatorów zrobił swoje i równocześnie utorował drogę zjazdom następnym, które przyczynią się może do rozruszania tej instytucji czcigodnej, ale do niedawna przynajmniej... bardzo ciężkiej.

ODCZYT O KAMCZATCE.

(*Streszczenie odczytu, wygłoszonego w Towarzystwie przyrodników polskich im. Kopernika.*)

O Kamczatce można byłoby mówić wiele, długo i byłoby to rzeczą łatwą, ale streścić wszystko, co warte wspomnienia w krótkim referacie, jest zadaniem wielce trudnem, prawie niemożebnem, to też ograniczyć się muszę do wypowiedzenia kilku myśli tylko, dotyczących Kamczatki. Kamczatka dla jednych, którzy n. p. czytali pośmiertne pamiętniki generała Kopcia albo awanturnicze relacje Beniowskiego, jest krajem „stracenia“, leży gdzieś daleko u bieguna północnego, jest wiecznie śniegiem pokryta, tam umiera duch ludzki, zduszony ciężkiemi warunkami życia. Dla drugich znowu, którzy przeczytali opisy prof. Ermanna, Kamczatka zdaje się być Eldoradem, bo gdy uczony i cywilizowany Europejczyk, tej miary, co prof. E. może powiedzieć, że chciałby zapomnieć o całej swej przeszłości, zapomnieć o rodzinie, ojczyźnie, by módz na łonie pięknej, dziewiczej natury tamtejszej, wśród najmoralniejszego i najsympatyczniejszego ludu, jakim są Kamczadale, przeżyć wiek swój w spokoju i miłości, to w każdym razie muszą mieć i Kamczatka i Kamczadale jakiś urok, któremu się oprzeć nie może człowiek cywilizowany. Rodzi się przeto pytanie, co stanowi ten urok? Otóż w pierwszym rzędzie piękność dziewiczej natury, pokrewnej z naszą europejską. Mamy tam widoki urocze z naszemi lasami, gajami, łąkami, moczarami, obramione alpejskiemi górami i wysoko nad niemi wzniesionemi wulkanami; w drugim znowu rzędzie stanowi urok lud tubylczy, najsympatyczniejszy z ludów pierwotnych. Gdyby można było świat nowy stworzyć do koła Polski, to byłbym go zasiedlił samymi Kamczadalami. Bo ludzie, co nie umieją nawet łajać, co nie są zdolni zrobić przykrości bliźniemu, powinni być uznani

za ideał, ideał niedościgniony dotąd przez Europejczyków. Każdemu jest znany urok obcowania z grzecznemi, rozumnemi dziećmi, takiemi dziećmi rozumnemi, serdecznemi są Kamczadale, ale trzeba się do nich zbliżyć, z nimi zaprzyjaźnić, ażeby potrafili zapomnieć, że widzą przed sobą urzędnika, despotę. Gdy tych warunków brak, Kamczadale pozostają księgą zamkniętą dla obojętnego widza. By poznać Kamczatkę i Kamczadalów, trzeba mieć serce, a wtedy dopiero wystąpią przymioty, których zwykły obserwator nie spostrzega nigdy.

Kamczadale nazywają siebie, albo raczej nazywali, Itelmen'ami. Skąd pochodzi nazwa Kamczadale, niewiadomo. Plemię to całe jest już na wymarciu. Kamczadale zarażeni syfilitycznie przez kozaków, dziesiątkowani przez epidemje: ospy, szkarlatyny, odry i influenzy, którą to ostatnią nazywają na Kamczatce „kałotjem“, na domiar pojeni alkoholem, schodzą powoli do grobu, ale statecznie. Najdzielniejszy szczep, zamieszkujący kiedyś wzdłuż doliny rzeki Kamczatki i na wybrzeżu wschodnim półwyspu, już wymarł, — to, co pozostało z niego, są to metysy, zrodzone z mieszanych małżeństw z Rosjanami. Na zachodnim brzegu, Kamczadale trzymają się lepiej, prawdopodonie z racji, że są przez pół korjackiego pochodzenia. W południowo zachodniej części Kamczatki — Kamczadale już wymarli zupełnie.—Obszar ziemi, znany pod nazwą Kamczatki, obejmuje przestrzeń, wynoszącą 339.697 wiorst kwadr., a więc prawie jest tak wielką, jak królestwo Pruskie, albo Węgierskie. Na tej ogromnej przestrzeni mieści się około 7.000 mieszkańców, z nich Kamczadalów około 2.000 (a było ich przeszło 30.000), Korjaków około 1.500, Łomutów do 200, Aleutów do 50, resztę stanowią włościanie syberyjscy i kozacy, przesiedleni w różnych czasach na Kamczatkę. Półwysep Kamczatki sięga na północ do 62^0 szerokości, na południe do 51^0, a zatem tak jest położony, jak gdyby zajmował w Europie miejsce pomiędzy Petersburgiem a Wilnem. Klimat Kamczatki jest zmienny, stosownie do położenia, średnia roczna temperatura części południowej wynosi $+1^0$ C., części północnej -6^0 C. Silne mrozy panują w górach i na północy, nie większe, niż u nas panują na południu. Śniegi bywają obfite — szczególniej w dolinach, dokąd wiatr zwiewa cały śnieg z gór. Pietropawłowsk n. p. bywa wprost zasypywany śniegiem, aż po same kominy domów.

Lato zwykle jest dżdżyste, na 90 dni lata liczą 45 dni chmurnych i 27 z deszczem silnym; rosa nocna jest tak obfita, że starczy często za deszcz ulewny; błyskawic, grzmotów i piorunów nie bywa nigdy. Suszenie traw podczas lata jest niemożebne, stąd konieczność koszenia jesienią, gdy trawy pożółkną; bydło karmić trzeba od października po koniec kwietnia, albo nawet do połowy maja. Zasiane zboże wyrasta wysoko, ale ziarno nie dojrzewa z powodu wybujałości trawiastej i rannych, wczesnych przymrozków.

Półwysep jest krainą górską z wysokiemi łańcuchami i licznymi wulkanami. Doliny są wązkie, zachodnie wybrzeża płaskie, moczarowate, wschodnie skaliste. Wulkanów czynnych liczą 12, nieczynnych 26, zapadłych ilość niezliczona. Najwyższy wulkan „Kluczewskaja sopka“ wznosi się na 16.131′ nad pow. morza, drugi po nim najwyższy, położony w pobliżu Pietropawłowska, zwany „Korjacka sopka“ mierzy 11.522′, inne wynoszą od 10.000′ do 8.000. Trzęsienia ziemi są częste, również i erupcje popiołów i lawy. Gorących źródeł mineralnych moc wielka, gdybyśmy ich mieli chociażby cząstkę małą tylko, bylibyśmy bogaci, w Kamczatce jednak, mają one tylko taką wartość, że można w nich bez mydła prać bieliznę, jeżeli ją kto ma. Najsławniejsze źródła są Paratuńskie, w niedalekiej odległości od Pietropawłowska położone, do innych dojazd trudny, więc prawie nieodwiedzane; cała dolina rzeki Bannej, czyli Łaziennej, jest gęsto źródłami gorącemi obdzielona. Ziemia w pobliżu rzek ciepłych i źródeł gorących jest rozgrzana tak, że posadzone tam kartofle rosną dziko z roku na rok, nie wymagając wcale jakiejkolwiekbądź uprawy. Ogrodownictwo i rolnictwo może byłyby się udawały, gdyby nie ta okoliczność, że rąk do pracy brak, z powodu połowu ryb, połów zaś trwa przez całe lato, a wszyscy wtedy są nim zajęci, tak, że nająć do roboty koło roli nie można nikogo. Narzędzi rolniczych, oprócz szpadla i motyki, nie zna ludność wcale, brony nie używają. Nikt się tu ani na uprawie roli, ani ogrodownictwie nie zna, dosyć powiedzieć, że nie umiano dochować się nasion kapusty, sprowadzano corocznie nasiona z Europy, nie wiedząc o tem, że dopiero na drugi rok wytwarzają się nasiona. Kartofli nie okopują, sadzą je na wiosnę, a dopiero w jesieni o nie się troszczą, ogród zarasta chwastem, które głuszy kartoflisko całkowicie. (Jakoby teraz we wsi Kluczewskoj, ma być lepiej, niż było uprzednio za mojej tam bytności).

„Ostrożków“ czyli wsi, albo wogóle miejsc osiadłych, liczą wraz z Pietropawłowskiem 60, ta ostatnio wymieniona wieś, zwana szumnie miastem, ma jakoby teraz 74 chałupy. Wszystkich chałup na całej Kamczatce liczą 1012. Ilość mieszkańców miasta Pietropawłowska wynosiła w 1897 r. 383 osób ob.

płci. Miasto ma swego burmistrza, radnych, ale, niestety, nie ma żadnych praw, nawet do zawiadywania własnymi funduszami. Szczegół następujący wskaże, jak głęboko sięga opieka macierzyńska rządu w sprawy domowe „miasta stołecznego“ Kamczatki. Mieszczanie uzbierali fundusz kilkunastotysięczny, a obawiając się, ażeby go nie stracić, jeśli pozostawią w niepewnych rękach, postanowili wybrukować jedną ulicę miasta i położyć na niej trotuarowe płyty kamienne, z łupków miejscowych sporządzone. Zwrócili się przeto do gubernatora, a ten znowu do ministra o pozwolenie użycia własnego funduszu na cele miejskie. Po paru latach od podania prośby, przyszło rozporządzenie, ażeby kapitał odesłany został do kasy gubernjalnej, bo dla „miasta Pietropawłowska nie są potrzebne ani trotuar ani brukowana ulica“.

Cała historja Kamczatki od pierwszego na nią najazdu bandy kilkudziesięciu kozaków pod dowództwem Atłasowa w r. 1697, aż do czasów najnowszych, jest historją niesprawiedliwości, zdzierstwa i wyzysku. Z tego kraju państwo żadnej nie miało korzyści, niema jej dotąd i mieć nie będzie, kraj ten służył jako środek wzbogacenia się kupcom, wyzyskiwaczom. Państwo łoży z własnych funduszów na utrzymanie siły zbrojnej i urzędników, płaci za dowóz koniecznych środków spożywczych, jak mąki, soli i spirytusu. Ten ostatni produkt cywilizacji Europejskiej jest prawdziwem zabójstwem dla kraju; gdyby nie wódka, gdyby nie zdzierstwo kupieckie, można byłoby mieć z kraju tego dochód znaczny, można byłoby n. p. Kamczatkę uczynić wielkim zwierzyńcem, poświęconym hodowli soboli, lisów, piescow, niedźwiedzi, dzikich baranów, wyder morskich i kotów morskich; można byłoby zasiedlić wszystkie jeziora rybami słodkowodnemi, bo tych gatunków nie ma tam wcale. Słowem, Kamczatka zdałaby się, taką jaką ona jest obecnie, dla innych celów, aniżeli dla hodowli bydła, lub uprawy roli. To jest kraj ryb łowsiowatych, raj prawdziwy dla jedzących z postem, możnaby tu umieścić wszystkich mnichów ku chwale Bożej, — kraj soboli, kraj niedźwiedzi. Ludzi zdrowych, zdolnych do pracy tam obecnie niema wcale, jest to szpital na wielką skalę, szpital syfilitycznych, trędowatych, alkoholików, — z taką ludnością czekać trzeba, aż czas ją wyleczy, a jeżeli nie wyleczy, to przynajmniej ułoży w mogiły, na świadectwo, że chciwość, barbarzyństwo i opilstwo może doprowadzić ludzkość do zguby. Ach, ta ostatnia właściwość organizmu człowieczego, jak ona nam jest swojską, jakże rodzimą! Kamczadal, Korjaka, Aleut, Łomut, zdają się być pod tym względem naszymi braćmi rodzonymi, wszystko za gorzałkę, bez niej ani szczęścia, ani radości. Toasty! w twoje ręce! na zdrowie! szczęść Boże! kochajmy się! zdrowie dam! — co to za śliczne, co to za patrjotyczne, kochane zwyczaje, a mówki serdeczne, a przyjęcia świąteczne — nie, chyba i w raju takich przyjemności niema, cóż stąd, że po tem wszystkiem Karlsbad staje się koniecznym, albo rewolwer lub trucizna. Żyło się przynajmniej słodko w objęciach chwalonego przez naszych inspektorów szpitali nektaru boskiego, który dostarcza potu i wody dla pracujących fizycznie, a dla próżniaków potu i wody duchowej.

Prawie kamczacki obrazek mieliśmy tutaj u nas przed kilku dniami, bo młodzież dublańska i weterynaryjna, podhulawszy sobie w Winnikach podczas wycieczki rzekomo naukowej, wyprawiała tam i tutaj sceny, Hogarthowskiego pendzla godne; więc po co sięgać daleko, mamy Kamczatkę i u nas na każdym kroku, to też na teraz dosyć będzie i tych słów niewielu, mających starczyć za sprawozdanie z odczytu, wykoszlawionego do niepoznania w zecerni „Słowa polskiego“. „Piękny to kraj — Kamczatka“ powtórzę za Ermannem, jak piękną jest Polska nasza, gdybyby tylko ją zaludnić ludźmi trzeźwymi, rozumnymi; do tego jednak trzeba współdziałania życzliwej w tym kierunku prasy, duchowieństwa i sfer rządowych. Gdyby przynajmniej Tow. Sz. ludowej doszło do tego przekonania, że pierwszym jej obowiązkiem „wytrzeźwienie ludu“.

Dr. B. Dybowski.

MARJA JARMUND. 7)

Nasze ideały w XIX. wieku.

Dziwnym zbiegiem okoliczności owe marzenia oparte jedynie na poetycznych wizjach, w kilkadziesiąt lat po jego śmierci zaczęły ogartywać niektóre umysły, znajdujące do nich podstawę w najnowszych badaniach naukowych.

Pierwszy, o ile się zdaje, myśl tę poruszył Villiers d'Isle Adam — za nim rozwinął ją Maeterlinck, następnie Przybyszewski, a wreszcie przyjętą została, jako dogmat przez modernistyczną literaturę.

Ponieważ badania somnambulizmu, hipnotyzmu, magnetyzmu i snów przedsiębrane na podstawie doświadczeń „wykazują — pisze Przesmycki — że z chwilą i w miarę znieczulenia się organów nasze

zwykłej, zmysłowej, empirycznej świadomości następuje rozbudzenie się innej jakiejś wewnętrznej, poza obrębem owej empirycznej świadomości leżącej i dla tego żadnym mostem wspomnień, z życiem na jawie nie złączonej strony istoty naszej i że w stanach tych rozpoczyna się działanie jakiejś innej świadomości, przechodzące granice wszelkich naszych pojęć na jawie, sięgającej nieskończenie, bezgranicznie zarówno w nas samych, jak w byt nas otaczający i przynoszącej nietylko zupełnie nową treść poznania, lecz i zupełnie nowe niepojęte nam przy zwykłych warunkach czasowe i przestrzenne poznania tego formy. Mamy zatem dwie świadomości: zmysłową i transcendentalną“.

Z odkryciem tego zadziwiającego faktu, że w człowieku istnieją dwie świadomości, zmysłowa i transcendentalna i że istnienie tej ostatniej jest utajone, zaczęły się budzić w niektórych umysłach przypuszczenia, czy owa przytłumiona, a jednak działająca na nas i objawiająca się w wyjątkowych wypadkach, nie jest właśnie nieśmiertelnym pierwiastkiem dwoistej natury człowieka, istniejącym i działającym bez przerwy kolejno to tu na ziemi, to za światami.

„Właściwie i jedynie podług Maeterlincka — pisze dalej Przesmycki — prawdziwe życie człowieka jest w nieskończoności, kresy tego, co zazwyczaj życiem zowiemy, nie ograniczają bynajmniej sfery wpływów i działalności człowieka. Nie możemy zrozumieć, dlaczego dzieci ponoszą karę za zbrodnię ojców i wydaje się to nam niesprawiedliwem. Czyż wiemy wszakże, ażali byliśmy skutecznie obecni w chwili tej zbrodni? Czyż wiemy ażali postanowienie naszego pradziada, nie było sumą tysiącznych niewidzialnych postanowień naszych? Czyż wiemy, ażali czyn jego nie był urzeczywistnieniem niepoliczonych naszych jednozgodnych myśli?... Człowiek jest tylko prowizorycznym mandatarjuszem przeszłości i przyszłości... Kto mi określi udział, jaki brałem w krzyżowaniu Chrystusa, w odkryciu Ameryki? Może to mój głos, przytłumiony brzemieniem dwóch tysięcy lat, zdecydował Piłata do umycia rąk?... Gdy jestem tutaj, gdy działam tutaj, działam nie tylko na swój własny rachunek i dlatego to tyle jest we mnie rzeczy, z których nie mogę zdać sobie rachunku, lecz z których inni zdadzą sobie rachunek, z których ja im zdam rachunek“.

W ten sposób dałoby się bez wątpienia wyjaśnić wiele stron życia ciemnych, choć odpowiedzialność za czyny popełnione nieświadomie, pod wpływem owej utajonej siły fatalnej i to odpowiedzialność, ponoszona nie przez ową siłę, ale przez naszą świadomość zmysłową, wydaje się czemś tak potwornem i niesprawiedliwem, że trudno jej uwierzyć. Cóżby to była za niezdolność, czy igraszka przyrody, stwarzającej miljardy miljonów istnień, snujących się bez przerwy, po tym i po innych światach bez świadomości dawniej przebytych doświadczeń i tak bez kresu i bez końca! Jakaż ponura, przerażająca perspektywa! Jakto, więc niebyłoby sposobu zniknąć raz na zawsze z tej ziemi, uciec od tej kaźni, która nie jednemu gorszą, niż otchłań piekielna się wydaje? Więc śmierć nie mogłaby już być dla nikogo wybawieniem? I w jakim celu to wszystko?

Dusza się kształci i udoskonala w tych wędrówkach, powiadają moderniści, staje się w końcu genjuszem. Genjusz ma być mętnem wspomnieniem, jak utrzymują. Jakże w to trudno uwierzyć! Bez pamięci, która jest spójnią, łączącą nauki i doświadczenia dnia wczorajszego z dzisiejszym, niema podstawy do rozwoju i udoskonalania się. Ale próżne usiłowania, nic się dociec nie uda, dopóki kiedyś wiedza nie zdoła rozwiązać zawiłego zagadnienia.

Dla nas w tej chwili najważniejszą jest rzeczą wykazanie, że Słowacki i z tej fantastycznej wiedzy umiał skorzystać, ażeby służyć sprawie ojczystej, którą moderniści, wbrew intencjom uznanego przez siebie mistrza, za rzecz podrzędną uznali, usiłując wśród ogółu obniżyć jej doniosłość i pogardliwemi swemi słowami wystudzić nietylko miłość dla niej w sercu społeczeństwa, ale ją ośmieszyć i jako dowód bezrozumnych uczuć tłumów przedstawić.

Na nieszczęście nie tylko u samych modernistów spotykamy się ze smutnym faktem obniżania ideału narodowego. U znacznej części społeczeństwa daje się spostrzegać szkodliwe to zjawisko a wpłynęły na wywołanie go różne przyczyny. Z jednej strony upadek ducha po klęskach ostatniego powstania, z drugiej rozwielmożniający się do ostatnich granic militaryzm. Każdą sprawę przyzwyczajono się oceniać stosownie do bezpośrednio wypływającej z niej korzyści i potępiać, gdy tej korzyści od razu dostrzedz nie można. Z tego źródła wziął początek hańbiący nas trójlojalizm. Patronuje go oczywiście arystokracja, która stała się przyczyną upadku Polski. Kosmopolityczna, a więc po największej części, oprócz nielicznych wyjątków, pozbawiona uczuć narodowych, hołdując zasadzie, że tam ojczyzna, gdzie dobrze, znajduje w orderach i dygnitarstwach zupełne zadowolenie dla swoich uczuć. Z tej strony niema się czego spodziewać, gdyż ci ludzie z obawy, żeby nie utracić choć częściowych korzyści

z chwilowego stanu posiadania, gotowi każdy interes narodowy poświęcić. Ale nie na nich się kończy. Ideał utylitaryzmu sięgnął znacznie głębiej i nieobliczone przynosi szkody. Przed niedawnym czasem zaczęto w obydwóch zaborach, moskiewskim i pruskim, propagandę pogodzenia się z losem, uznania dobrowolnie spełnionych faktów i udowodnienia zgody, stosownem do tego postępowaniem. W Księstwie Poznańskiem apostołką tych uczuć była, naturalnie, arystokracja z p. Kościelskim na czele. Prusacy na te zaloty odpowiedzieli hakatyzmem.

Wiosna.

Idzie w storczyków bladawej powodzi
Wtedy, gdy mętne smugi mgieł się kładą,
Gdy szum fal rzecznych wyraźnie dochodzi,
Gdy cisza płynie milczącą kaskadą,
Gdy noc zaczyna ciemności przesiewać,
Gdy ptak zaczyna żałośliwie śpiewać,
Gdy się woń kwiatów mocna, przejmująca
Rozchodzi w koło...
Idzie nad ziemią, lekka i kojąca,
Stąpa po kwiatów błękitnawej toni,
A cisza jej pieśni dzwoni.
Schyla się nad samą ziemią,
W której wszystkie bole drzemią
I wyciąga blade ręce,
Aby ulżyć długiej męce
I tchem chłodnym, miłym wionie
I całuje ziemi skronie,
Rozpalone wielkim trudem,
Bo jest mocą, — bo jest cudem.

LITHOS.

13. maja 1904 r.

JAN ŚWIERK. 22)

SALON MÓD.

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Ciąg dalszy.)

Stach poczyna grać rolę zakochanego.

Zapewne, w porze postu, gdy niema zabaw i balów, szuka rozrywki przy mnie. Sądzi, iż ja, pozbawiona zupełnie towarzystwa mężczyzn, łatwo w nim się zakocham. Wczoraj cukierkami mię obdarował. Jak on dziwnie kobietę ocenia!... Za paczkę słodyczy chce jej życzliwość nachylić ku sobie... Podziękowałam mu za podarek, ale zaraz spytałam: — czy nie szkoda pieniędzy?

— Gdybyśmy tak chcieli ciągle pytać, czy nie szkoda, dusilibyśmy grosze, jak skąpiarze...

— Nie! wydawalibyśmy na rzeczy pożyteczne i dobre. Zamiast paczki cukierków, jedna książeczka dla czytelni ludowej, zamiast cygar kilku — jeden tomik dla dzieci ubogich...

— Ależ i dla naszej przyjemności potrzeba czasem drobnostki jakiej, czemuż mamy sobie odmawiać zawsze i wszędzie tego wszystkiego, co może umilić życie?...

Uśmiechnęłam się na to.

— Gdybyś zamiast cukierków przyniósł mi kwiatek jaki, rozweseliłabym się, ale kwiatek swojski, z naszych lasów, widzisz, kuzynie, od wakacji nie byłam w lesie, pól nie widziałam, ja — mieszkanka wioski lubej.

— Postaram ci się o tę przyjemność. Wierz mi, to wszystko, co ciebie zdoła rozweselić, jest dla mnie także miłe.

— A ty, kuzynie, kochasz wieś? lud? lasy? pola?...

— O tyle, o ile wiem, iż kochać powinienem, jednak życie to mało mi znane.

— Dziwię się, jak możesz pracować literacko i dobrze pisać, jeśli nie znasz ludu i wsi...

Powiedziałam to nierozważnie, sama zaraz zrozumiałam, iż źle zrobiłam, bałam się, czyli się Stach nie rozgniewa, ale on odrzekł spokojnie:

— Może być, iżbym był lepszym pracownikiem, ale chowam się w mieście i — dla miasta.

— A ludzie z tej szkoły zupełnie są inni, niż my ze wsi — odpowiedziałam z cicha.

Na drugi dzień, wracam od Olgi z lekcji, zastaję wiązkę śnieżyczek na stole.

Moje biedne, śliczne, kochane kwiaty... pierwsze kwiaty lasu, pierwsze zwiastuny wiosny. Całuję je z radością, tulę do ócz, do czoła... oddycham ich wonią nikłą...

— Jaki Stach dobry, iż przyniósł kwiaty — mówię do cioci, rozweselona i uśmiechnięta — niech ciocia patrzy, jakie śliczne, te kwiaty sieroty — macocha im ziemia, wie ciocia o tem...

Ale ciocia oparte ma czoło na rękach, ręce złożone na maszynie i siedzi tak nieporuszona, na moje wołanie nie podnosi się...

— Ciociu!... co tobie? Omdlałaś?... nie słyszysz, co mówię?... Matko Najświętsza! może ciocia zemdlała?...

Nachylam się, nadsłuchuję, oddech równy, cichy... ona zdaje się usnęła. Taka biedna, wyczerpane ma siły przez chorobę, zabrała się do roboty i oto ani wie, kiedy usypia. Sama nie wiem, czy ją zbudzić, czy zostawić.

Panna Mania szepce mi:

— Niech się prześpi, osłabiona jeszcze bardzo.

Podłożyłam jaśka pod głowę i okrywam ją chustką, aby nie zziębła, gdy wchodzi wuj.

— Cóż to?... upiła się baba?... — woła brutalnie.

— Wuju! proszę jej nie budzić, chora jest jeszcze, chce pracować, ale sił nie ma.

— Głupia była i głupia będzie! Nie umie sobie poradzić, nie śpi, nie je, robi i robi, a mało z głodu nie zdechnie i ona i wszyscy przy niej.

— Bo ciocia ma za dużo obowiązków, bo ona sama jedna na cały dom zarabia...

Na nieszczęście swoje i całego domu, powiedziałam to nierozważnie...

Jakże wuj nie wrzaśnie dzikim głosem, iż mnie nic do tego, jak nie pocznie gadać i gadać, że ja już od ciotki nauczyłam się jemu robić wymówki, że wolałby się ten z djabłem żenić, co krawcowe bierze za żonę, bo one tylko mielą językami, a z roboty nic nie mają... myślałam, że chyba jeszcze i mnie uderzy.

Ciocia zbudzona, nie wiedziała, co się z nią dzieje. Zakaszlała się silnie, dostała dreszczów, ja rozpłakałam się... aż tu dzwonek.

Do „salonu mód“ wchodzą damy... W jednej chwili cisza, spokój...

Wobec tego milkną kłótnie, gniewy, swary...

Ciocia, omywając oczy mokrym ręcznikiem, zbiera się spiesznie do salonu, wuj idzie do sypialni, ja siadam do szycia.

Z salonu słyszę głos:

— Ależ ta suknia szkaradnie zrobiona, wydaję się w niej nizka i tęga, figura bez wcięcia, jakże ten stanik skrojony, jak leży?

— O ile było można starałam się, ale stan bardzo krótki, biodra szerokie...

— Co to, krótki stan? Są jeszcze tęższe odemnie, a staniki leżą wybornie... trzeba ścieśnić, aby było lepsze wcięcie... ramiona podnieść, suknię zwęzić.

Spoglądam przez drzwi na damę, która próbuje suknię i złość mię jakaś ogarnia niewypowiedziana, niecierpliwość zbiera się we mnie:

— Jakto? okrągła dynia, objętości w pasie półtora metra, nizka, niezgrabna, z wypukłemi plecami, ma jeszcze pretensję do cioci, iż jej suknia figurę jej psuje... doprawdy!... to już nie do pojęcia... To krawcowa winna, iż postać jej, zdaje się, jak beczułka pękata!...

— Niechno panna Mania obaczy, jaka figura — szepcę do sąsiadki, a ona śmiejąc się, odrzeknie...

— Dobrze, że jeszcze nie garbata. Ale w tym magazynie, gdzie ja przedtem pracowałam, dawała do roboty suknie bogata jedna hrabianka, garbata, i ciągle awantury robiła, iż stanik źle skrojony psuje jej figurę.

Wraca ciocia z salonu i podaje pannie Mani stanik do przerabiania.

Wuj, wychodząc znowu do miasta, zbliża się, całuje mnie i szepce:

— Wybacz!...

Spojrzałam na niego ze wstrętem i obrzydzeniem.

Po 8-mej przyszedł Stach.

— Dziękuję ci szczerze za kwiaty...

— Niema w nich nic ładnego, chyba tylko to, iż wczesne są.

— Znasz podanie ludowe o tych kwiatach najpierwszych?

— Opowiedz mi je.

— Wszystkie inne kwiaty mają ziemię za matkę, i ona je na zimę kryje, tuli, ogrzewa. Te jedne są sieroty i ziemia im macochą. Macocha te kwiaty ot, tak tylko dla oka niby to tuli na zimę, ale zawadzają jej, chce się ich pozbyć jak najprędzej, więc gdy tylko pierwsze promienie słońca wychylą się ku wiośnie, gdy tylko pierwszy dech ciepła wionie, ona już wypędza śnieżyczki — sierotki i mówi: — idźcie! idźcie! już ciepło, już wiosna... idźcie! Wypchnięte przez macochę kwiatki wychodzą z pod ziemi, ale jeszcze zimno im dokucza, śniegi jeszcze leżą w lasach, nigdzie trawki zielonej, ani śpiewu ptasząt... Więc sieroty-kwiaty schylą główki i stoją smutne... ale za to, kto tylko je spostrzeże, cieszy się, chwyta i zanosi do domów, do kościołów z radośnem wołaniem: — już wiosna!... Wygnane przez macochę — kochane są przez ludzi, którzy lubią piękno i przyrodę...

— Śliczna legenda... a wiele ma przenośni.

— O tak! Jak śnieżyczki przez macochę wyganiane na zimno i pustkę, lubiane są przez ludzi dobrych, tak i te wszystkie istoty, które los prowadzi na życie mozolne i smutne, powinne być otaczane opieką i do serc dobrych tulone.

Na te słowa ciocia ucałowała mię.

(Dok. nast.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Mann Maurycy.* Wincenty Pol, studjum bjograficzno-krytyczne, napisał.... Tom I. z portretem poety. Kraków 1904. G. Gebethner i Sp. 8-ka, str. 402.

Pomimo licznych drobniejszych prac, nie mieliśmy dotąd książki, któraby zajęła się nakreśleniem całokształtu życia i twórczości śpiewaka „Pieśni Janusza". Zadania tego podjął się młody krakowski uczony, p. Mann i trzeba przyznać, że wywiązał się ze swego zadania dobrze. Wyzyskał tedy wszystkie drukowane źródła do życiorysu Pola, korzystał też z materjałów rękopiśmiennych, przechowywanych w bibljotece Jagiellońskiej, stąd zdołał podać dokładny i wyczerpujący zarys życia, w wielu zaś punktach sprostować dawne mylne wiadomości. Nie tak dobrze wypadła ta część, w której autor zajmuje się rozbiorem utworów Pola. Są one wprawdzie dość obszernie traktowane, ale wolelibyśmy, ażeby te ustępy były zajęły więcej miejsca, choćby nawet z tego powodu miała uledz uszczupleniu część biograficzna. Zawsze przecież nie tyle interesuje nas Pol, jako człowiek, ile, jako twórca. A potem, autor jest miejscami zanadto powściągliwy w wypowiedzeniu swego zdania o wartości utworów Pola. Nie chcę wcale przez to utrzymywać, jakoby czuł pewną słabość dla poezji Pola. Bynajmniej — często sądy jego są ostre, ale należało w pewnych partjach pogłębić ten rozbiór i nie posługiwać się cytatami sądów obcych, a dać za to własną w tej mierze opinję. Zwłaszcza należało się zająć gruntowniej rozbiorem „Piosnek gminnych" Pola, które dotychczas nie były dokładniej zbadane. Te wszystkie zarzuty nie mają na celu obniżenia rzetelnej wartości, jaką dzieło p. Manna niewątpliwie posiada. Radzibyśmy tylko, ażeby autor ustrzegł się tych samych usterek podczas pisania drugiego tomu monografji, omawiany tom bowiem kończy się 1846. rokiem.

S. Zdziarski.

Marja Colonna Walewska: *Sęp,* dramat w 3 aktach. Brody — nakładem F. Westa; Warszawa — E. Wende i Sp.

Księgarnia F. Westa w Brodach okazuje się ostatniemi czasy coraz bardziej ruchliwą na polu wydawniczem. Obok pięknie, a tanio wydawanych „Arcydzieł naszej i obcej literatury", wychodzi obecnie także jej nakładem „Bibljoteka pisarzy nowoczesnych", w której ukazało się studjum św. p. Piotra Chmielowskiego o Kasprowiczu, Schnitzlera „Lalki" — a ostatnio „Sęp", dramat w 3 aktach p. Marji Walewskiej (Wielopolskiej). — Sęp — to nigdy niezgłębione, wiecznie powikłane, klęte i wielbione równocześnie — życie, które ostatnią kroplę krwi z nas wysysa, miota nami jak puchem wicher, rzuca nas na zapadające się trzęsawiska. Truchlejemy z przerażenia. Rodzą się na bagnach i trzęsawiskach ludzie-karły, a i tym karłom Życie-Sęp nie da spokoju, serce ich szponami swemi krwawiąc. A zaco to Życie tak miota nami? tak nas kopie? Przyczyna może w nas samych tkwi, może po za nami — ale gdzie? Niewiadomo... I tu jest tragizm, że nie znamy, ba! nie wiemy nawet, gdzie szukać przyczyny naszych cierpień wnętrznych i boleści. W dramacie p. Walewskiej ludzie zwieszają łby... Wieki im tak kazały... Nie mają Siły i Mocy Ducha.

Gdyby mniej było literatury, a jeszcze więcej szczerości w dramacie p. Walewskiej, dramat byłby może nawet dobrym zwłaszcza, że djalog jest cięty i rzecz scenicznie dobrze napisana. Z powodu właśnie tej „literatury" i wpływu dramatów Ibsena, a zwłaszcza Przybyszewskiego — dramat na wartości traci i ludzie w nim żyjący, nie zupełnie żyją swojem życiem. *F. Gwiżdż.*

NOTATKI. *Alfabet łaciński na Litwie.* W tych dniach zniesiono datujący się od czasów murawiewowskich zakaz drukowania książek litewskich alfabetem łacińskim. Zniknie więc dziwoląg, narzucający piśmiennictwu litewskiemu graždankę w celach rusyfikacyjnych, a wobec tego dla literatury litewskiej nowe otwiera się pole działania. Po raz pierwszy pojawiły się książki drukowane w języku litewskim za czasów reformacji w XVI. wieku i w książkach tych użyto, zmodyfikowanego odpowiednio do dźwięków mowy litewskiej, alfabetu łacińskiego, lub gotyckiego. Przez cały czas istnienia Rzeczypospolitej, mimo braku jakichkolwiek zakazów lub ograniczeń, piśmiennictwo litewskie słabo się rozwijało i dopiero w drugiej połowię XIX. w. zdołało wykazać 1000 książek, drukowanych w Wilnie, Kiejdanach, Supraślu, Dynaburgu, Suwałkach, a także w Rydze i Mitawie. Poczęły także wychodzić w tym języku dzienniki i pisma perjodyczne. Nakaz, wydany w r. 1864 przez Murawiewa, aby książki litewskie drukowano grażdanką, zadał cios literaturze tego narodu, pomimo, że powstały drukarnie litewskie za granicami Litwy w Królewcu, Tylży, Kłajpedzie, w Holandji i Stanach Zjednoczonych. Celu jednak rusyfikacyjnego nakaz ten nie osiągnął i dziś, jako bezprzedmiotowy, został zniesiony.

Zbiory dra Lasockiego, jednego z właścicieli Nałęczowa w Królestwie Polskiem, dostały się tymi dniami w darze Muzeum narodowemu w Krakowie. Rysunki, rzadkie wydawnictwa rycin i t. d. otrzymuje muzeum już obecnie, inne zabytki, jak starożytności, zbroje przejdą tam dopiero po śmierci właściciela. Szereg portretów historycznych, dawne dzieła wydane w Lublinie i Zamościu, widoki, mapy i okazy, odnoszące się do ziemi lubelskiej, otrzyma zakład nałęczowski kuracyjny, przy którym w ten sposób powstanie lokalne, bardzo pożyteczne i interesujące muzeum.

ZAPISKI BIBLIJOGRAFICZNE.

— Pawlik Stefan dr. Kartka z dziejów rolnictwa w Polsce. Rys bibljograficzny z połowy XVIII. wieku. (Odbitka z „Tygodnika rolniczego") Kraków. 1904. 8-ka, str. 9.

— Piątkowski Henryk i Dobrzycki Henryk. Andriolli w sztuce i życiu społecznem. Warszawa. Nakładem H. Dobrzyckiego. Księgarnia E. Wendego i Sp. 1904. folio, str. 199 i 278 rysunków w tekscie, 25 poza tekstem.

— Poniatowski Stanisław August, z Autografu francuskiego przełożone przez Bron. Zaleskiego. Warszawa. 1903. (Dodatek do Kurjera codziennego), 8-ka, str. 352.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.